Świat
Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 35 Głosu Wielkopolskiego

POZNAŃ, 29 VIII 1948 r. ROK III

Z biegiem Dunajca

Jednym z pośród pięknych miejsc w Polsce jest część Beskidu zachodniego, grupa gór, noszących nazwę Pienin.

Nie są one bardzo wysokie; (najwyższy szczyt, Trzy Korony, ma zaledwie 982 m), są tak malownicze, że zachwycają wszystkich podróżników i turystów.

Ów niezwykły urok zawdzięczają Pieniny przed wszystkim rzece Dunajcowi, która przecina je, przedzierając się między ścianami: stromych, prostopadle spadających do rzeki, skał

Dunajec przedziera się przez skalne zbocza Pienin.

oraz łagodniejszych z drugiej strony stoków, pokrytych płaszczami ciemnego boru; tworzy on takie mnóstwo mniejszych i większych zakrętów, że kto pierwszy raz płynie Dunajcem, ten nieraz nie chce wierzyć, że skały, które widzi przed sobą to te same, które niedawno zostały za łódką. Każdy zdumiewa się, jak to rzeka mogła wyrobić sobie koryto wśród tych skalistych gór i ile to długich wieków trwała jej praca!

Jazda łódkami Dunajcem przez Pieniny jest wielką rozkoszą dla tego, kto rozumie i odczuwa piękno przyrody. A ileż mamy niespodzianek w czasie tej jazdy!

Już, już zdaje się nam, że wjeżdżamy na skałę, która zamyka dalszy bieg rzeki, aż podjechawszy blisko, widzimy, że nagle otwiera się nowe przejście i rzeka, burząc się i pieniąc, płynie dalej. Od tych pian Dunajca, rozbijającego się o głazy i tworzącego burzliwe wiry, pochodzi nawet sama nazwa gór: Pieniny. Najlepiej wybrać się w tę uroczą podróż w pogodne południe, gdy cała rzeka gra światłami odbijających się w wodzie promieni, lub w czasie nocy księżycowej — wtedy jadącemu wydaje się, że płynie przez zaklętą krainę z bajki. To też o górach tych istnieje mnóstwo podań i legend, a poeci szczególniej sobie ten kącik ziemi polskiej umiłowali i niejeden wypowiedział swój zachwyt nad jego pięknością, w szeregu różnych wierszy opiewających Pieniny i Dunajec.

Maria Konopnicka tak opisuje jazdę łódkami po Dunajcu

„Wąziutkie nasze łodzie, przepięte łańcuchem,
Lekko mkną po Dunajcu sennym jakimś ruchem,
Z lewej i prawej strony dwie ściany skaliste
Wyciągają się ku nam w cienie długie, mgliste:
A Dunajec drga lekko w migotliwe skręty,
Sunąc jako wąż w trawie piersiami wygięty,
Wiosło uderza miękko, niby pieszczotliwie,
A człowiek ledwo wierzy, że na ziemi żywie;
Bo świat tam, z drugiej strony, do skał gdzieś przyparty,
A widok tylko w niebo błękitne otwarty".

Zamek obronny nad Dunajcem, w Czorsztynie, odkąd się zaczynają Pieniny, stanowił straż na granicach Polski. O 2 km od niego na przeciwnym brzegu rzeki, wznosi się zamek w Niedzicy, własność starej rodziny węgierskiej. Z Czorsztyna zostały tylko ruiny, a było to jedno z najstarszych i ważnych miejsc w Polsce, wzniesione około 700 lat temu.

Królowie polscy bardzo często zjeżdżali do Czorsztyna dla załatwiania różnych spraw z Węgrami. Gościła tu królowa węgierska, Jadwiga. Kinga, żona Bolesława Wstydliwego lubiła szczególnie te strony. Na jednej z gór pienińskich znajdują się resztki murów z zamku św. Kingi, który był ukryty wśród lasów i gór i tak niedostępny, że tylko jeden człowiek piechotą mógł tam dotrzeć. Kinga ocalała w nim podczas walk wraz z mężem, gdy cały kraj stanął w ogniu; drugi raz schroniła się tam po śmierci Bolesława wraz z zakonnicami, gdyż jak wiadomo, św. Kinga, zostawszy wdową, przeniosła się do klasztoru Klarysek w Starym Sączu i tam zmarła.

Jednym z pierwszych, a zarazem największych wielbicieli tych stron był poeta, Wincenty Pol, który znał doskonale całą ziemię polską. Zachwycał się urodą swojej krainy, opisywał ją w swych utworach, a o Pieninach tak zaśpiewał:

„Jak cudowna modra żmija,
Hen! Dunajec się przewija;
Jak odwieczne grają dumy,
Tak tam szumią jego szumy
Jak dwa mury — w pion dwie skały;
W górze niebo — w dole woda —
Łódka szybka, jak myśl młoda,
A na łódce sternik śmiały,
Stara orłów to dziedzina:
Tutaj Czorsztyn — tam Niedzica —
Nowotarska hen dolina —
Nad Tatrami błyskawica.
A tu stoi łódź u brzegu,
Góral wita cię z uśmiechem —
Nie myśl długo — skocz z pośpiechem
I płyń, bo już łódka w biegu".

HALINA MAĆKOWIAK

Po 96 dniach niezwykłej pełnej niebezpieczeństw podróży tratwa Kon-tiki dobiła do brzegu wyspy Raroia niedaleko Tahiti.

Ludność wyspy ugościła norweskich naukowców i przybrała ich w tubylcze stroje i kwieciste wieńce. Uczeni obdarzeni zostali również imionami „brodatych bogów", których rzekomo przypominali.

Stoją od lewej: Nawigator Erik Hesselberg, telegrafista Torstein Raaby, pierwszy oficer Herman Watzinger, oficer zaopatrzenia Bengt Danielsson, kapitan ekspedycji Thor Heyerdahl, i telegrafista Knut Haugland.

Wszyscy uczestnicy wyprawy to ludzie młodzi, w wieku od 26—32 lat.

WYPRAWA KON-TIKI

na wyspy Pacyfiku

Thor Heyerdahl, młody etnolog norweski, należy do kategorii ludzi, gotowych zwalczyć wszelkie przeszkody, by dowieść słuszności swoich tez naukowych. Ubiegłego lata, udał się on w tym celu na regularną wyprawę na centralne połacie Pacyfiku. Choć wielu innych naukowców odbywało już podróże znacznie dalsze, kilku zaledwie z nich zdecydowało się na podróżowanie w okolicznościach podobnie niebezpiecznych, jak to uczynił Heyerdahl; mianowicie wyprawę swą odbył on na prymitywnej wątłej tratwie.

Powody, które skłoniły Heyerdahla i pięciu innych współczesnych Wikingów — jego współtowarzyszy — tworzących załogę tratwy, do opuszczenia peruwiańskiego wybrzeża ubiegłego kwietnia i wyruszenia poprzez wzburzone i spiętrzone fale prądu Humboldta na zachód, na niezmierzone przestrzenie Pacyfiku, nie wypływały bynajmniej z samej chęci przygód. Podróż tratwy, nazwanej imieniem starożytnego z czasów datujących się sprzed panowania Inków, boga słońca — Kon-tiki i noszącej na swoim żaglu jego podobiznę, była planowana w atmosferze najchłodniejszych rozważań i kalkulacji. Była to normalna ekspedycja naukowa, przedsięwzięta w celu stwierdzenia i ustalenia faktów.

Na poszukiwanie prawdy

Uczony Heyerdahl ustanowił następującą teorię: wierzył, że wyspy Pacyfiku były już zamieszkane przez wczesnych t. j. przedkolumbowych Indian amerykańskich, którzy wyemigrowali tam setki lat przedtem. Natomiast inni antropolodzy, wychodzący z założenia, że kontynent Azji był kolebką i źródłem wszystkich kultur Pacyfiku, przyjęli teorię tę bez entuzjazmu, pomijając fakt, jak orzekli, że żadna tratwa, czy też inna forma statku indiańskiego, nie byłaby w stanie osiągnąć tak odległych archipelagów. Teoria ta była dotychczas tylko teorią, podpadającą pod dyskusję naukowców; jedyną drogą do wykazania jej słuszności, względnie niesłuszności pozostała osobista wyprawa, na której odbycie zdecydował się Heyerdahl.

Perspektywa wyprowadzenia prymitywnego stateczku, skonstruowanego z kłód, pni i lin na bezkresne obszary największego oceanu świata, stanowiła źródło niekończących się niebezpieczeństw. Niespodziewane, wyjące wiatry południowych szerokości geograficznych Pacyfiku, mogły w ciągu kilku minut zerwać olinowanie i ożaglowanie tratwy, a fale wielkości pancernika, mogły ją łatwo rozbić i zredukować do ro-

THOR·HEYERDAHL

32-letni etnolog norweski, kierownik najdziwniejszej w naszych dziejach ekspedycji naukowej.

li dryfujących po oceanie szczątków drzewa. Mógł uczony norweski, również wynikiem złych prądów i wiatrów minąć się z miejscem przeznaczenia i wyczerpać wszystkie przygotowane zapasy żywności. Przedsięwzięcie tego rodzaju fantastycznej współczesnej odysei wymagało odwagi w stopniu, jaką posiada niewielu ludzi. Heyerdahl na odwagę taką się zdobył. Potrafił również dobrać członków załogi, którzy nie wahali się podjąć zadania, jakie przed sobą postawili.

Droga do Raroia

Wiele główniejszych prądów wód południowo-amerykańskich, znali już i ustalili wcześniej żeglarze hiszpańscy, ale na długo przed Hiszpanami, indiańscy mieszkańcy wybrzeża peruwiańskiego posługiwali się już tymi samymi prądami, ułatwiając sobie tym odbywanie podróży wzdłuż wybrzeży kontynentu południowo-amerykańskiego. Do jednego z tych prądów na Pacyfiku, należy prąd Humboldta, płynący wzdłuż zachodniego brzegu Ameryki Południowej z południa na północ i mniej więcej na wysokości geograficznej Peru, skręcający ku centrum Pacyfiku, gdzie łączy się i ginie w prądzie Południowo-równikowym. Heyerdahl wyszedł z założenia (założył), że prąd ten wraz z prądem Południowo-równikowym, jak i z mniej lub więcej pomyślnymi wiatrami, zaniosły grupę ludzi, będących mieszkańcami Ameryki na wyspy Polinezji, które według wszelkiego prawdopodobieństwa jako pierwsi zasiedlili i zaludnili.

Polinezyjczycy, mówiąc o swoich przodkach, stwierdzają, że należeli oni do rasy o blond włosach i silnym zaroście na twarzy, którzy przybyli z kierunku gdzie wschodzi słońce, z ojczyzny ukrytej wysoko w chmurach. Szczepem który najbardziej odpowiada temu opisowi są bezsprzecznie starożytni mieszkańcy Peru. Zamieszkiwali oni tereny wysokogórskie w Andach nad jeziorami, w czasach przed panowaniem Inków. Tam budowali świątynie z olbrzymich płyt kamiennych, wykuwanych w przygotowanych do tych celów kamieniołomach, mieszczących się przeważnie na przeciwległych brzegach jezior. Płyty te, często przekraczające wagę 50 ton transportowali przez jezioro na tratwach konstruowanych z drzewa gatunku balsa. Innych, silniej zbudowanych zaś tratew, używali do żeglugi na oceanie.

Według legendy szczep ten został przez wrogie plemię zaatakowany i zmuszony do ucieczki przez ocean. W celu udowodnienia, że tratwy wspomnianego szczepu nadawały się do spływu przez ocean i dotarcia do poszczególnych archipelagów, Heyerdahl zadecydował odbyć podróż na takim właśnie stateczku. Zebrał w tym celu grupę współrodaków, równie chętnych do wzięcia udziału w zamierzonej ekspedycji oceanicznej. W styczniu ubiegłego roku Heyerdahl wraz z członkiem załogi Hermanem Batzingerem, udali się w czasie pory deszczowej w Andy, ścięli tam partię ciężkich kłód drzewa balsa, spławiając je rzekami górskimi do morza. W marcu ubiegłego roku, kłody te wraz z załogą dotarły do Callao w Peru. Kierując się pamiętnikami — zapiskami, poczynionymi przez uczestników różnych ekspedycji, Norwedzy zbudowali tratwę, starając się odtworzyć model oryginału, który według wszelkich tez przepłynął ocean na wyspy Polinezji mniej więcej przed 1400 laty. 28 kwietnia ub. roku tratwa Kon-tiki wraz z załogą została wyholowaną z portu Callao i pozostawiona działaniu wiatrów i prądów Pacyfiku.

Uczeni zabrali ze sobą znane od najdawniejszych czasów warzywa i owoce, np. orzechy kokosowe i ziemniaki. Według teorii Heyerdahla, te środki żywnościowe zostały przeniesione i zasadzone na wyspach Polinezji przez wczesnych Indian.

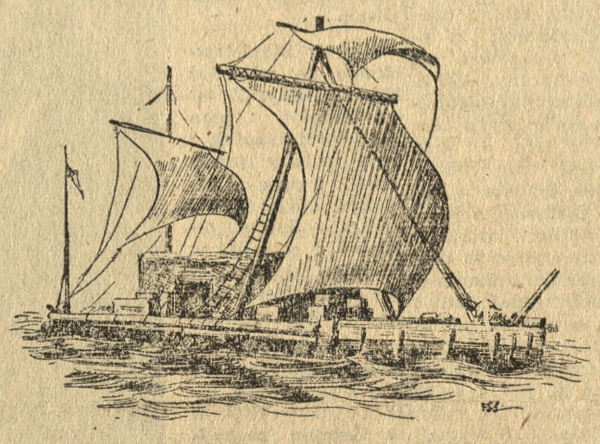

Na takim oto wątłym i prymitywnym stateczku, skonstruowanym z pni, kłód drzewnych i lin, wyruszyła ekspedycja na niebezpieczne wody Pacyfiku.

Przeprawa przez ocean

Gdy peruwiański holownik, wyprowadziwszy Kon-tiki na pełne morze, zniknął za horyzontem wschodnim, załoga tratwy zabrała się z energią do zajęć związanych z nawigacją na zachód, której miała oddawać się przez następne 101 dni. Z wyprawy takiej zawrócić o własnych siłach nie mogli; tratwa bowiem poddana raz działaniu wiatrów i prądów oceanicznych, posuwała się niezmiennie i ciągle z prądem Humboldta na zachód.

Każdy członek załogi odbywał kolejno dwugodzinną straż przy wiośle sterowym. Uszkodzenia stateczku jakie się wydarzały, zostawały szybko usuwane. Dokonywano obserwacji meteorologicznych, obserwacji dotyczących życia i fauny morskiej, kontrolowano stale stan wyposażenia (sprzętu) naukowego, jaki został w podróż zabrany oraz prowadzono dokładne kroniki wszelkich innych szczegółów związanych z ekspedycją. Telegrafiści pozostawali w stałym kontakcie ze stacjami na wybrzeżu kontynentu. Podstawę codziennego pożywienia, stanowiły ryby łowione w oceanie. Przy okazji tej łapano również dziesiątkami rekiny, które stanowiły zresztą większą część połowu dnia. Ryby i specjalnie gromadzona woda deszczowa uniezależniały uczestników wyprawy zupełnie od zabranego również pożywienia konserwowego.

Najbardziej pocieszającym i wprowadzającym naukowców norweskich w dobry nastrój, był szczegół, że Kon-tiki posuwała się prawie dokładnie według wykoncypowanego przez Heyerdahla kursu.

Kres wędrówki

Rychłym rankiem na 93 dzień, majestat bezmiaru wodnego został na horyzoncie zmącony niebieskawym punkcikiem. Była to ziemia, wyspa Puka-Puka. Jakkolwiek tratwa podpłynęła dość blisko wybrzeża wyspy, wiatry zniosły ją jednak dalej. Po 4 dniach dalszej podróży, ukazała się inna wyspa, Angatau. Powtórzyła się jednak historia z wyspą poprzednią — tratwa w odległości kilku mil od wyspy popłynęła dalej na zachód. O świcie 95 dnia podróży, wiatry popędziły tratwę wprost na najeżone rafy Raroia, wraz z ryczącymi i rozbijającymi się o nie bałwanami, co po raz pierwszy w trakcie trwania wyprawy dawało najgroźniejsze i niebezpieczne dla losu załogi perspektywy. Heyerdahl zarządził wtedy natychmiastowe zwinięcie żagli, podniesienie falochronów i przygotowanie kotwic. Wątły stateczek został rzucony tyłem przez rozhukane morze z siłą na rafy. Zgodnie z przewidywaniami Heyerdahla, spiętrzone grzywacze wyrzuciły tratwę wysoko ponad rafy, w rezultacie czego wylądowała ona na płytkiej wodzie, tuż poza groźnym pasem raf i bałwanów. W wyniku tej przeprawy, uległa złamaniu główna kłoda poprzeczna, stanowiąca konstrukcję statku, kabina wraz z masztem opadły na pokład, ale wszyscy mężczyni uchwyciwszy się silnie kłód tratwy wylądowali bez szwanku.

Heyerdahl wraz z towarzyszami rozbili obóz na położonej w pobliżu rafy niezamieszkałej wysepce, przenosząc tam całą aprowizację.

Pięć dni po swoim niezbyt fortunnym wylądowaniu, załoga Kon-tiki została uratowana. Rządowe władze francuskie, odebrawszy radiogram o dotarciu Kon-tiki na Raroia wysłały tam skuner, celem przeholowania tratwy na Tahiti. W czasie oczekiwania na przybycie zapowiedzianego skunera, naukowcy norwescy zostali w tubylczej wsi ugoszczeni, poubierani w strój tubylczy i kwieciste wieńce, oraz obdarzeni imionami brodatych bogów, których według twierdzeń mieszkańców wsi, uczeni przypominali.

Heyerdahl promieniał: długa przeprawa morska zakończyła się, członkowie ekspedycji wyszli z niej zdrowi i cali, a co najważniejsza, tezę swoją poparł dowiedzionym faktem — że wcześni mieszkańcy Ameryki Południowej mogli wyemigrować zademonstrowanym przez siebie sposobem, t. j. unoszeni prądem Humboldta, na archipelagi wysp Pacyfiku.

Jak dalece, to tak ciężko wywalczone potwierdzenie tezy naukowej zdoła przekonać antropologów, jest kwestią przyszłości. Wielu z nich będzie niewątpliwie usiłowało wykazać silne różnice, jakie mogą ewentualnie istnieć między udowodnionymi możliwościami, a wypadkami rzeczywistymi. W każdym razie, bez względu na wynik debat, wyprawa Kon-tiki jest jedną z największych przygód naszej ery.

E. Sz.

Henryk Barański

KONSTANTY STANISŁAWSKI

wielki twórca teatru rosyjskiego

(W 10-lecie śmierci)

Historia teatru rosyjskiego ma okresy swego wzlotu i upadku lata rozkwitu i marazmu.

W najpiękniejszych okresach swego rozwoju teatr rosyjski dawał w formie artystycznej wyraz dążeniom idei demokratycznych społeczeństwa rosyjskiego i był jego ukochaniem serdecznym. Aktor rosyjski reprezentował zawsze idee postępowe i na scenie rosyjskiej za czasów carskich popularyzowały się hasła, które wkrótce miały ogarnąć płomieniem rewolucji całą Rosję. Chorążymi nowej sztuki i idei byli tacy wielcy aktorzy jak tragik Mocżałow, twórca rosyjskiego realizmu scenicznego Szczepkin, ucieleśnienie bohaterskich typów kobiet rosyjskich Jermołowa i wśród nich największy, namiętny poszukiwacz prawdy w sztuce Konstanty Stanisławski. Nie do pomyślenia byłby jednak współczesny teatr rosyjski bez genialnych pisarzy scenicznych takich jak Puszkin, twórca historycznej tragedii narodowej „Borys Godunow", Gribojedow i Gogol, bezlitośnie odsłaniający oblicza zła, panującego w dawnej samodzierżawnej Rosji, Ostrowskij, który zaklął w swoich dramatach i komediach całą epokę narodu rosyjskiego i opowiadał o losie tragicznym „małych ludzi", o ich nierównej walce z potęgą złotego cielca. Dalej, Czechow, marzyciel o lepszym czystszym ideowo życiu lub wielki humanista Gorkij, zwiastun nadciągającej burzy Rewolucji Październikowej.

Historia teatru rosyjskiego do rewolucji obejmowała kilka wielkich teatrów zawodowych jak Mały, Aleksandrijski i Moskiewski Teatr Artystyczny (Stanisławskiego) oraz teatry operowe w Moskwie i Petersburgu. W operach rewolucji 1905 r. narodził się Moskiewski Teatr Artystyczny, któremu sądzonym było zapisać najpiękniejszą kartę w historii największych teatrów świata. Z teatrem tym i jego rozwojem związane jest imię Stanisławskiego. Wielki ten artysta a zarazem wychowawca i teatrolog należał do tych nielicznych, którzy włączyli się bez zastrzeżeń w nurt nowych czasów i zrozumieli znaczenie dokonanego przewrotu we współczesnej sztuce teatralnej. W burzliwym okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej w 1905 r. Stanisławski mówił: „W chwili przebudzenia się sił społecznych w kraju teatr nie może i nie ma prawa służyć tylko czystej sztuce — powinien być wyrazicielem nastrojów społeczeństwa, wykładnikiem ich i tłumaczem na scenie."

Działalność Stanisławskiego po Rewolucji Październikowej była różnorodna. Grał wiele, wystawiał mnóstwo sztuk i był inicjatorem studiów dramatycznych przy Moskiewskim Teatrze Artystycznym. Realizował dawne swoje marzenia zastosowania realistycznej gry nie tylko na scenie dramatycznej, lecz i w operze.

Już z końcem XIX wieku razem z Włodzimierzem Niemirowicz-Danczenko wystąpił on z planem ideowych i twórczych reform w teatrze. Wypowiedział on walkę rzemiosłu na scenie i szablonowi, zabijającemu żywą duszę twórczości aktora. Walczył nieubłaganie z kłamliwym patosem, deklamatorską napuszonością i nienaturalną grą aktora. Jako reżysera interesowało go zagadnienie, w jaki sposób można osiągnąć szczerość, bezpośredniość i prawdziwość w grze aktora i uniknąć zgrywania się i fałszu.

W poszukiwaniu odpowiedzi opracował on metodę wychowania aktora, która otrzymała nazwę „systemu Stanisławskiego". System ten to twórcza metoda pracy, pozwalająca aktorowi „tworzyć oblicze roli" odsłaniać wewnętrzny ideowy świat człowieka i wcielać go w formie naturalnej, artystycznie przekonywującej. Zwracając się do młodzieży aktorskiej przybyłej do niego z delegacją z Leningradu mówił on: „Wy, młodzi przyjaciele, powinniście wnosić do świątyni sztuki wszystkie najpiękniejsze myśli i porywy ducha ludzkiego, otrząsując z siebie na progu teatru pył i brud życia". Żądał on, aby artyści nauczyli się przede wszystkim kochać sztukę w sobie, a nie siebie w sztuce. W jednym z ostatnich swoich artykułów Stanisławski pisał: „Aby stworzyć sztukę i przedstawić na scenie życie ducha ludzkiego, trzeba nie tylko badać to życie, ale i bezpośrednio z nim się stykać we wszystkich jego przejawach, gdzie, kiedy i jak tylko można. Bez tego twórczość nasza przerodzi się w szablon." Żądał on od artystów, aby posiadali szeroki horyzont myśli, gdyż „gramy sztuki współczesnej nam epoki". Dla Stanisławskiego ideowa etyczna strona wychowania aktora była najważniejsza i decydującą. Aby być prawdziwym artystą-twórcą trzeba stać na poziomie czołowych idei swego czasu, głęboko się wczuwać w nowe życie i rozumieć zagadnienia psychiczne swego narodu. Przez całe życie dążył on do sztuki, która odpowiadałaby wszystkim zagadnieniom myśli, serca i ducha działającego na ziemi człowieka, a nie zniżyła się do roli lekkiego, bezmyślnego widowiska.

Wpływ Stanisławskiego na młodzież był ogromny. Z jego ideałów, z jego błysków i świateł, z jego metody pracy wzięli u nas dużo, bardzo dużo Stefan Jaracz i Juliusz Osterwa i wcielili w polskim ujęciu ideały Stanisławskiego na naszych scenach.

Po występach Moskiewskiego Teatru Artystycznego w latach 1922—1924 r. w Europie zachodniej i Ameryce powstały namiętne dyskusje o nowych kierunkach w sztuce teatralnej. Stanisławski odsłaniał widowni europejskiej wielką prawdę i siłę twórczą teatru.

Konstanty Stanisławski grał na scenie, reżyserował i nigdy nie rozstawał się z piórem. Jego książka „Moje życie w sztuce" jest cudownym vademecum nie tylko dla aktora, lecz dla każdego człowieka, który chce rozumieć sztukę i żyć w jej atmosferze. Życie i twórczość Stanisławskiego obejmuje wielki okres czasu od 1860—1938 roku, tj. od czasu zniesienia poddaństwa w Rosji poprzez 20 lat pracy w Związku Radzieckim. Stanisławski z charakteru swego umysłu należał do niespokojnych ludzi w sztuce. Nie umiał spoczywać na laurach powodzenia, upajać się burzą oklasków i zachłystywać entuzjazmem krytyki. Był do zgonu 7 sierpnia 1938 r. „poszukiwaczem nowych lądów" i nieznużonym eksperymentatorem. Duch krytyki i samokrytyki towarzyszył mu niezmiennie do zgonu.

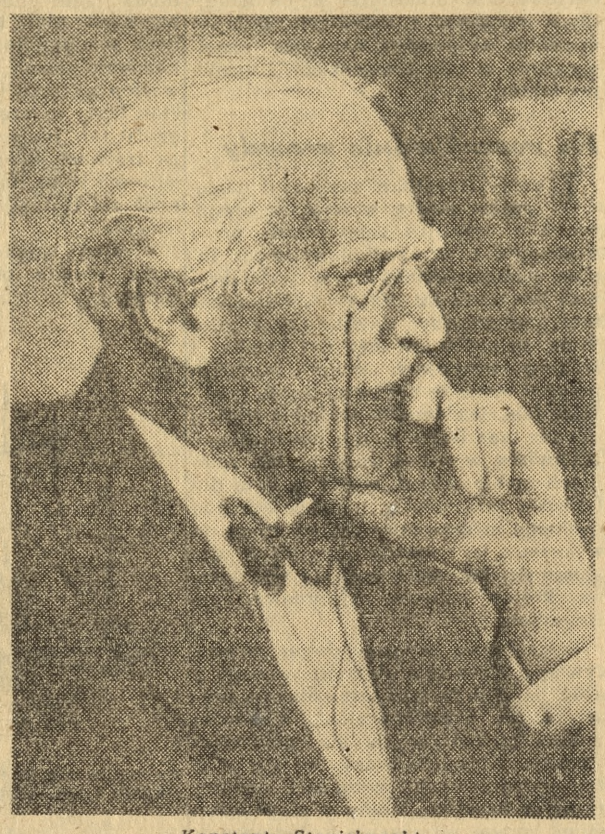

Konstanty Stanisławski

Nowości wydawnicze

Włodzimierz Wnuk: Walka podziemna na szczytach. Wydawnictwo Zachodnie 1948. Młody autor, góral z pochodzenia, jeden z licznych napiętnowanych numerem obozowym w długoletnich pobytach w Stutthofie, Oranienburgu i Gusen jest chyba najbardziej upoważniony do rehabilitowania górali w opinii świata. Jego nieduża książeczka to dokument świadczący o nigdy nie wygasłym patriotyźmie Podhala. Rzuca ona jaskrawy snop światła na ohydne metody kilku zdrajców, przy pomocy których Niemcy organizowali ów sławetny „Goralenvolk". Jasno, zwięźle, bez żadnych ozdób literackich i chwytów, a jednak dobrym, przejrzystym językiem i z wielkim uczuciem przepełniającym każdą stronę dziełka — opisuje autor dzieje zdrady nielicznej grupki i dzieje bohaterstwa i męczeństwa całej ludności podhalańskiej. Dowiadujemy się o niestrudzonej i wiernej służbie łącznikowej i przerzutowej wykonywanej w wielu wioskach pogranicznych Podhala, o gremialnych egzekucjach, o srogich pacyfikacjach, o szykanach i przymusach przy wydawaniu kart rozpoznawczych i o niezłomnej mimo wszystko postawie ogółu. Dowiadujemy się o nieznanych jeszcze szerzej wspaniałych wyczynach Marusarzy, Czechów, Krzeptowskich (innych) i Zajączów, którzy po dalekim i szerokim świecie nie tylko zdobywali ordery waleczności i utrwalali chwałę polskiego oręża, ale w spokojniejszych chwilach, na marginesie spraw ważnych, bez treningu forowali się na pierwsze miejsca w zawodach sportowych wzbudzając podziw i poklask.

Możemy być wdzięczni Wnukowi, że opracował, bodaj w tak szczupłych ramach, gorącą, a potrzebną apologię swoich współziomków.

ama

DR JERZY MŁODZIEJOWSKI

Byłem we Fromborku...

Jakieś zadziwiające powietrze wionęło do okien wagonu. Ni to wilgoć jeziora, ni to morze a w każdym razie jod. Z prawej strony pociągu stoki zamykających horyzont wzgórz, otulonych szczelnie gęstym kobiercem drzew. Z lewej woda, woda, bez końca, bez początku. To Zalew Świerzy za Elblągiem! A jednak nie tak znów bardzo „bez końca", bo na widnokręgu najwyraźniej ciemni się pozioma kreseczka takiej samej jak Hel mierzei. Tam jest owa Krynica, skąd poprzez fale bałtyckie Zatoki Gdańskiej ku bezmiernej dali sięga oko zachwyconego krajoznawcy. Ale mój pociąg, który się wczesnym rankiem wyrwał z Elbląga pędzi teraz żwawo dalej. Minąłem Tołkmicko, dokąd nawet aż z Kościana niezwykle miła kobietka na wakacje przyjechała. Tymczasem wody Zalewu jakoś się oddaliły od toru a ich miejsce zajął bardzo szeroki pas trzcin i jeziernych prawie oczeretów. Pociąg zachylił się szybkim skrętem i na widnokręgu wreszcie ujrzałem to, do czegom od lat wielu tęsknił. **Frombork** — miasto Mikołaja Kopernika, który wstrzymał słońce, ruszył ziemię a polskie go wydało plemię w Toruniu nadwiślańskim. To było w smutne jeszcze chwile niewoli, gdym wieczorową porą miał „w baraku 13 B" zakonspirowaną pogadankę dla kolegów w noc majową 1943 roku. Obchodziliśmy skrycie, ale polskim sposobem 400-lecie zgonu Mikołaja Kopernika. Mówiłem „na pamięć" o tym nadmorskim mieście warmińskim, gdzie Kopernik ponad 40 lat życia spędził. Nazywałem je z obca „Frauenburgiem", aż mnie przyjaźnie Franciszek Jaśkowiak poprawił: „Trzeba mówić po polsku Frombork!". I zapamiętałem tę poprawkę na całe życie. Wreszcie mi do znowu polskiego miasta Fromborku los zgotował szczęście osobiście przyjechać. I oto dojeżdżam doń... widzę z daleka charakterystyczne i tak doskonale z fotografii znane cztery wieżyczki na czterech rogach katedry. I ta fasada lombardzkiego pokroju! Drży i żywiej bije serce krajoznawcy: co tu dużo pisać: wzruszenie ogarnia każdego Polaka, gdy tu na ową świecką pielgrzymkę przyjeżdża. Frombork — miasto Mikołaja Kopernika!

Fatalnie i niemal całkowicie zniszczone miasteczko. Przed wojną już i tak było dość nikłym „zaparkaniem" dawnych Prus Wschodnich. Dziś legło w ruinie zupełnej. Wychodzę z wagonu chyba sam jeden i pustymi a słońcem do białości rozpalonymi uliczkami pośród zburzeń i urwisk wznoszę się z oczyma utkwionymi w kontur katedry ku wzgórzu. Za mną pozostały niższe kondygnacje miasteczka - cmentarza. Jestem teraz samotnie w alei starych drzew. Te wojna ominęła. Szumią lekko pierzastym listowiem i przeplatają promyki słońca własną zielenią. Jest brama pomiędzy dwiema półokrągłymi basztami. Tedy wejście na podwórzec katedry fromborskiej. Opiekuje się nią z Nieba św. Jerzy a wezwaniem Matce Boskiej poświęcona. Ceglany, wspaniały gotyk z XIV wieku. Podchodzę do murów, by w grubej cegle odszukać zagadkowe wgłębienia, których w Wielkopolsce i na północnym Śląsku pełno... nie ma ich tu jednak. Czemu?

Katedra otoczona murem, zbrojnym w baszty, których kilka jeszcze stoi, ale najwyższa runęła w dół wojennym toporem tknięta. Pozostała tylko wysoko w cztery strony świata głosząca datę ukończenia cyfra 1685. Szumi wysoko nade mną korona olbrzymiego dębu, może i starszego od martwej dziś wieży dzwonów. Aliści w lewej połaci podwórza jakiś ruch i gwar. To murarze ochoczo pracują nad „odnowicielstwem" najcenniejszej stąd dla Polski pamiątki. Oto w baszcie narożnej, zachodniej — jak dzieje powiadają — Mikołaj Kopernik czynił obserwacje „kontrolne" do znanej całemu światu teorii — prawdy astronomicznej. Oto w niziutkim domku było jego mieszkanie, gdzie zamknął zmęczone oczy w owym majowym dniu 1543 roku, dzierżąc w stygnących już dłoniach wydrukowane w Norymberdze własne dzieło „O obrotach"! Lada tydzień skończą przez Państwo opłacani robotnicy swą pracę i zniszczony, powalony w ziemię nadmorską Frombork bogaty będzie w muzeum „kopernikowskie", które tu powstanie ku chwale nauki, ku chwale Matki Polski. Poszli na obiad robotnicy i tylko wysoko, na północnej stronie dachu katedry słychać ciche stukoty młotków — to ostatnie dachówki układa się zręcznie, by deszcze do wnętrza katedralnego się nie dostały. Jestem teraz sam. Z nieśmiałym lękiem, który przecież nic wspólnego z przestrachem nie posiada wchodzę po jeszcze nie dość skończonych schodkach na pierwsze piętro basztowe. To tu była dostrzegalnia! To tu umieścił Kopernika na znanym obrazie Jan Matejko. Astronom trzyma w ręku tablicę z „planem" słonecznego wszechświata i patrzy w niebo gwiaździste. Na ziemi leży niepotrzebny już przyrząd „triquetrum" a spoza balustrady widać trójkątny zarys katedralnej fasady.

Po wnętrzu katedry oprowadza maleńką gromadkę krajoznawczą proboszcz bez parafian, jak siebie żartobliwie nazywa ksiądz Jan Kościewski. Bez parafian niemal, bo zaledwie pół tysiąca dusz do peryferii Fromborka się przytuliło. Może z czasem będzie ich więcej? Katedra dziś wnętrzem ku barokowi się chyli. Cały „gotyk" zniszczyli trzykrotnymi najazdami Szwedzi w czasy potopu. W pierwszej kaplicy po prawej ręce, budowanej staraniem Szembeka leżały niegdyś pod ziemią prochy Kopernika. Dziś po nich już nawet śladu nie ma w tym ani w innym miejscu! Nie wiadomo, gdzie są! Nie znamy grobu jednego z najwspanialszych geniuszów nauki światowej! W tym miejscu stał ołtarz św. Bartłomieja, przy którym kanonik kapituły warmińskiej Mikołaj Kopernik mszę odprawiał. Ale tam, bliżej wielkiego ołtarza na filarze lewej nawy tkwi pradawna tablica, którą też Kapituła wmurować w ścianę kazała ku uczczeniu pamięci swego wielkiego Konfratra-Astronoma. Wzruszający i skromny kształtem lecz ważny wymową metalowy, ciemny liść ze wstęgą, na której napis: „Mikołajowi Kopernikowi w rocznicę odzyskania Warmii Rząd R. P." przytwierdzono pod tablicą kapitulną. Pamiętano o Koperniku!

Czyż mogłem wtedy w zadrutowanym Oflagu marzyć o pobycie w tym mieście? A przecież jestem tu i własnymi oczyma przebiegam ten sam horyzont, na który patrzyły oczy Kopernika. Byłem w jego ubogiej izdebce, byłem w dostrzegalni, byłem w katedrze. Patrzę na drzewa dookolne... może które z nich ma lat cztery setki, może pamięta tę postać zapewne zgarbioną? Gdy wieczornym chłodem owiany stałem w miniaturowym porcie rzeczki Baudy, powstałym z kanału, inicjatywą Kopernika przekopanym według tradycji — raz jeszcze patrzyłem poprzez zatarte już nieco kontury ruin ku wzgórzu katedralnemu i ku baszcie zachodniej. Woda cichutko śpiewała przy brunatnych burtach spokojnych żaglówek rybackich. U dzioba napis jak najbardziej polski „Fro: 18" — to łódź polskiego Fromborka! I raz jeszcze patrzę ku tej sylwetce ginącego w oddali miasta-pamiątki narodowej. Otom był we Fromborku, mieście, w którym żył działał i tworzył nieśmiertelne dzieło zwykły, śmiertelny Człowiek — Mikołaj Kopernik. „Gaude Mater Polonia, prole foecunda nobili...".

ZYGMUNT JABŁKOWSKI

Godzina historii

W klasie IIb specjalistami od bałaganu na lekcji historii byli Adaś Śliwiński i Tomek Eliaszewicz. Tomek, zwany popularnie Mięta, cichy i spokojny uzdolniony matematyk, wymyślał najdziksze kawały. Swoim cichym i potulnym głosem dzielił się projektem z Adasiem przed lekcjami, gdzieś w kącie klasy lub na korytarzu. Projekt bywał przez praktyczny umysł Śliwy szczęśliwie uzupełniany i... przystępowano do roboty.

Tego dnia Mięta był szczególnie podniecony i krtań poruszała mu się szybko z wielkiego wzruszenia.

— Słuchaj Śliwa — mówił zdławionym szptem — musimy dziś zrobić coś ekstra.

— Masz co?

— Mam. Żarówka z talerzem lampy wisi pośrodku klasy na metrowym drucie, można nitkę od żarówki przeciągnąć w bok, gdzieś do ściany i lampa będzie wisiała krzywo.

— No i co z tego?

— Co?! — krzyknął zirytowany Mięta — Profesor wchodzi, patrzy, a tu lampa wisi nie na dół ale w bok, nitki oczywiście nie widać...

— Czekaj, lepiej przeciągnąć nitkę od ściany w dół do mojej ławki. Ja ciągnę i popuszczam, a lampa sama się kołysze.

— Morowo, Śliwa, morowo! I niech jeszcze Żorż narysuje Zyzia na tablicy. I wiesz co, pod katedrą można podsunąć okrągłe ołówki...

Na oczach radośnie podnieconej klasy wykonano dzieło sprawnie i szybko. Żorż Żewulski paroma ruchami kredą dał piękny obrazek z dziedziny sportów zimowych: profesor Tender, zwany poufale „Zyzio" z okularami na czubku nosa holendrował prawą nogą, uniósłszy lewą kokieteryjnie do góry. Na szyi miał piękny, efektownie rozwiany, kraciasty szal pod pachą rulon zwiniętej mapy, którą celował na wprost jak dzidą. Trzeba było fantazji Żorża, aby wyobrazić sobie profesora Tendra na łyżwach, niezbyt szczodrze obdarowanego przez naturę.

Po pierwszym dzwonku wszedł jak zwykle do klasy wychowawca, pan Bohdanowicz, aby sprawdzić porządek. Spojrzał na tablicę i — parsknął gwałtownie w dłoń, którą w ostatniej chwili zdążył podsunąć sobie przed rozwarte zdziwieniem usta. Potem pogroził klasie palcem drugiej wolnej ręki i szybko wybiegł, jak gdyby pędzony jakąś niepojętą siłą. Po trzecim dzwonku przetoczył się przez drzwi z wielkim rulonem mapy gruby Karolek, najnowszy ulubieniec historyka, a za nim wolno i z godnością wkroczył pan Tender. Rzucił okiem na tablicę i zamarł w bezruchu. Prawą nogę, którą zamierzał właśnie postawić o krok naprzód, cofnął wolno do tyłu, pomału obrócił się do klasy i rzekł dobitnie:

— Dyżurny!

Po klasie przebiegł natychmiast nieokreślony szmer. Ktoś poruszył kilka razy blatem ławki, jak gdyby chciał powstać. Ktoś zastukał butami jakby już biegł. Inni pytali się nawzajem zdziwieni: Dyżurny? Zaraz, kto tu jest dyżurny? Ale profesor Tender nie słuchał tego wszystkiego.

— Dyżurny! powtarzam raz jeszcze! — brzmiało głośniej. — Kto tu jest dyżurnym w tej klasie?!

Ponad ławki wzbił się po raz drugi szept. Słychać było głosy: Zaraz, ja byłem przedwczoraj, to wczoraj był Wieczynuś. Nie, nie — protestował ktoś gorąco — nie Wieczynuś, a Żubr! Więc dzisiaj? Psiakość komu to dzisiaj? Rozpoczęły się spory i przekomarzania. Wreszcie bezczelny Mitel huknął z kąta:

— Co za granda! Pan profesor ma czekać aż wy się zdecydujecie? To ja będę dyżurnym na ochotnika panie profesorze.

Mówiąc to wstał i począł zbliżać się do podwyższenia, gotów na usługi. Profesor, który miał aż nadto powodów, aby z wszystkich uczniów najmniej życzyć sobie właśnie pomocy Mitla, zamachał gwałtownie rękami i zawołał namiętnie:

— Niech Mitelski natychmiast siada! Co to jest takiego? Wezwę dyrektora! Pytam się jeszcze raz kto tu jest dyżurny?!

Groźba wezwania dyrektora nie należała do gatunku gróźb sugestywnych. To jedynie dyrektor, stary dostojny pedagog Turski, mógł wzywać do siebie. Było wprost absurdalnym pomyśleć, że ten majestatyczny i apodyktyczny starzec miałby przybiec w lansadach na zew któregoś z wykładowców.

Po dłuższych ceregielach znalazł się wreszcie dyżurny. Był oczywiście „niewinny", bo to przecież pierwsza lekcja i wójt nie zdążył go jeszcze zawiadomić o obowiązkach.

— Dlaczego dyżurny — zabrzmiało sucho i bardzo oficjalnie — nie utrzymuje klasy w czystości? Dlaczego nie oczyścił tablicy przed wejściem profesora? Czy mam dyżurnego zapisać do nagany?

Wtedy zaczęto wołać: Patrzcie, rzeczywiście na tablicy jest coś napisane. Nie, narysowane! Ktoś jeździ na łyżwach! Ależ tak, na łyżwach!

W tym momencie nerwy profesora Tendera dłużej nie wytrzymały. Na uczniów spadł grad gwałtownych gróźb i oskarżeń. Gdyby sprawdzić się miała choćby ćwierć zapowiadanych nieszczęść, zgniliby wszyscy uczniowie kiedyś w mrocznej przyszłości w więzieniach, jako zakały i wyrzutki społeczności.

Klasa scichła w udanym przerażeniu. Zacny historyk rad z osiągniętego efektu wodził po klasie ponad szkłami strasznymi oczami, szukając zaczepki. Nie znalazł jej, więc wszedł wolno i z god-

Polacy na szlakach świata

Prokop Pieniążek-Odrowąż

pierwszy polski admirał

23 września 1575 r. został wystawiony w Turynie przez kancelarię słynnego wodza Eugeniusza Sabaudzkiego dokument, który po określeniu celów i zasług maltańskiej organizacji wojskowej wymienia Polaka Prokopa Pieniążka-Odrowąża jako jednego z najdzielniejszych członków wspomnianej organizacji. Dokument oraz archiwum rodzinne pozwala odtworzyć życie i działalność jednego z największych polskich „ludzi morza" i pierwszego admirała polskiego pochodzenia. Pochodził z rodziny, która nie obawiała się żywiołu morskiego, czego są dawniejsze dowody. Stanisław Pieniążek-Odrowąż ze wsi Krużlowa pływał na Bliski Wschód i jest pochowany na Cyprze. Feliks Pieniążek-Odrowąż z Rydzewa odbył rejs do Palestyny i Syrii około roku 1563.

Prokop urodził się na Podkarpaciu w roku 1536. Najpierw studiował na wydziale sztuk wyzwolonych Akademii Krakowskiej, potem poświęcił się sztuce wojskowej. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy Zygmunt August wypowiada znamienne słowa do delegacji pomorskiej, meklemburskiej i lubeckiej: „Nasi (tj. Polacy) nie tylko wojny w tym żywiole (tj. morskim) nie przedsiębiorą, lecz i dla innych widoków nie tak są skorzy do żeglugi, wyjąwszy kilku gdańszczan", trzeci przedstawiciel rodziny Pieniążków-Odrowążów, udaje się na południe, aby następnie wstąpić do floty maltańskiej.

W drugiej połowie XVI wieku, w latach bliżej nie oznaczonych, odbywa szereg kampanii wojenno-morskich. Kapitanowie i pomniejsi dowódcy pozostawili pięć szczegółowych raportów o wyczynach Pieniążka. Dwa z nich dotyczą potyczek na morzu, trzy działań desantowych.

Jeżeli chodzi o pierwsze, to trzeba wymienić przede wszystkim bitwę z okrętami tureckimi, jaka wywiązała się w pobliżu Góry Krzyżowej na nizinie rzymskiej, kiedy to Prokop pokonał dwie galeoty, a na trzecią mniejszą jednostkę sam skoczył dając przykład męstwa i przedsiębiorczości. W innym czasie, gdy doszło do pojedynku okrętowego w Clolectum rzucił się jako drugi na trójwiosłowiec Marabaki i zwyciężył tego znakomitego dowódcę tureckiego. Raporty wymieniają z kolei udział Polaka w akcji przeciw głównej bazie korsarstwa — Algerowi, oraz w dwóch wypadach na Tunis. Podkreślają więc osobiste walory Pieniążka, który potrafił się wyzwolić sam z tłumu nieprzyjaciół, chociaż został ranny w ramię, jak również w innej bitwie uwolnić towarzysza swego z kręgu napastników. Wreszcie wskazuje się na czujność i przezorność naszego zagończyka pod Tunisem, kiedy to zapobiegł zaskoczeniu własnych oddziałów desantowych przez przeciwnika, który w ten sposób chciał odnieść łatwe zwycięstwo.

Prokop Pieniążek-Odrowąż został — według innych źródeł — dowódcą floty maltańskiej i autorem szeregu innych powodzeń na morzu i na lądzie. Trudno jednak umieścić te wszystkie wydarzenia w czasie. O szerokiej skali poczynań Polaka świadczy fakt, że zwrócili na niego uwagę dwaj najwięksi wodzowie europejscy na obszarze południowym: Eugeniusz Sabaudzki i don Juan d'Austria. Dzięki ich osobistym opiniom Prokop otrzymuje w roku 1575 wysokie odznaczenie w postaci Komandorii orderu św. Łazarza i Maurycego, a oprócz tego pamiątkowy miecz, złote ostrogi i czerwoną szatę.

Czy nasz zagończyk morski brał udział w olbrzymiej bitwie pod Lepanto? — nie wiadomo. Dowodził tam admirał d'Austria, któremu oddano do pomocy kilka okrętów maltańskich. Natomiast nie ulega wątpliwości, że Pieniążek walczył z siłami morskimi Uchi-Alego, który po klęsce lepantyńskiej zdołał zreorganizować i uzupełnić flotę turecką, by z jej pomocą próbować odzyskania Tunisu. Wymienione wyżej raporty znalazłyby więc ramy czasowe: 1572—1575 r.

Prawdopodobnie po uzyskaniu orderu Odrowąż płynie do Palestyny, a po powrocie otrzymuje wiadomość o wojnie Batorego z Gdańskiem. W każdym razie rok 1575 jest ostatnim, jeśli chodzi o działalność Prokopa na Morzu Śródziemnym. Mimo nalegań ze strony Maltańczyków porzuca ich służbę i udaje się do kraju.

Dalsze losy dowódcy floty maltańskiej są związane z akcjami lądowymi. Widzimy go więc pod Tczewem i Latarnią w walce o władztwo polskie w Gdańsku, a potem na wschodzie. Nie zapomina jednak o morzu, nie zapomina także Batory o jego poprzedniej działalności. Pod koniec życia król zrażony polityką wschodnią, ocenia lepiej znaczenie własnej siły morskiej i nosi się z zamiarem powierzenia jej organizacji Prokopowi Pieniążkowi. Na przeszkodzie do realizacji i powyższego zamiaru stanęła mu jednak śmierć. Nie zdążył więc Batory wprowadzić w czyn nowej zachodniej polityki morskiej której ze zmiennym szczęściem jęli się jego następcy — Wazowie. Także i Odrowąż nie wziął w niej udziału gdyż umiera w 1589 roku, zanim Zygmunt Waza zabrał się do tworzenia własnej floty.

JÓZEF MODRZEJEWSKI

Pomnik polskiego baroku w odbudowie

Potężne bele, jak okrętowe maszty, skute i powiązane wzbijają się aż pod kopułę wspaniałej świątyni. Potężne bele dźwigają liczne „piętra", spoczywając na rusztowaniach z grubych desek. Wspinamy się „schodami". Na przydługich drabinach wchodzimy coraz to wyżej. Godną chwilę trwa ta niezwykła wspinaczka. Jeszcze trzeba pokonać jedną wysoką drabinę, jeszcze kilka szczebli i wreszcie jesteśmy u celu A cel rozprzestrzenia się przed nami w całej swej wspaniałej okazałości. Jest nią przepiękna kopuła, wisząca nad prezbiterium poznańskiej Fary. Monumentalny ten kościół — jak to zwykle bywa w kościołach jezuickich — szczyci się najczystszym w Polsce barokiem. Nie powstydziłyby się go dwie jego ojczyzny: Włochy i Hiszpania.

Jan Żok

W XVI wieku zajął ten styl — i to nie tylko w architekturze czy rzeźbie, bo nawet w literaturze — miejsce renesansu i gdzieś aż do połowy XVIII wieku panował wszechwładnie. Są jego cechą oczywiście formy antyczne, lecz ileż w nich prześlicznych szczegółów, ileż „przeładowania" i nagromadzeń. Jeżeli renesans jest opanowany, stateczny, to barok „żyje dynamicznością i ruchem".

K. Lisiecki

I rozsławili imię jego Rubens w malarstwie, Bernini w rzeźbie (kolumnada na Placu św. Piotra w Rzymie) i Viqnola w budownictwie (kościół Jezuitów w Rzymie).

Patrzymy z podziwem, tu na 30-metrowej wysokości wnętrze farnej kopuły, którą teraz poznańscy artyści: malarze, rzeźbiarze i ich wykwalifikowani sztukatorzy rekonstruują. Trafiły bowiem tę polską perłę baroku liczne pociski w dniach oswobodzania Poznania.

Kartusze w kopule głównej i całego prezbiterium, serafini, wieńce, kwiaty i owoce zdobiące poszczególne fragmenty, niekiedy ogromnych rozmiarów, rekonstruuje teraz znany nasz poznański artysta-rzeźbiarz Jan Żok. Przywraca na nowo wyszczerbione czy zupełnie zniszczone fragmenty, stawia postacie 4 ewangelistów, tworzy nową, lecz pierwotną, wierną barokową kopułę.

W ślad za pracą artysty-rzeźbiarza idzie praca artysty-malarza Stanisława Wróblewskiego. Dziwny to zbieg okoliczności. 35 lat bowiem temu ten ceniony artysta również pracował tu pod tą kopułą. Dziś wspólnie z artystą-malarzem Kazimierzem Lisieckim zakasują rękawy w mozolnej pracy. Ogromnej wartości freski nabierają znowu właściwych barw. Z pamięci i bezbarwnych fotografii z dawnych lat, z nikłych śladów zniszczonych malowideł ożywają dzieła monumentalisty Szweda Dankwarta.

Stanisław Wróblewski

Całymi dniami pracują ci ludzie razem ze sztukatorami nad przywróceniem krajowi tego wspaniałego dzieła sztuki. I nie dziw, że jedyną troską i celem proboszcza Fary ks. kanonika Józefa Jany jest jak najszybsze usunięcie rusztowań. Tu chodzi o odbudowę wielkich „kamieni milowych" naszej kultury, z której Polska może być dumna. My, Polacy, znamy nasze wartości i dorobki tysiąca lat. Dowodem tego to wielka ofiarność poznańskiego społeczeństwa, które nawet najdrobniejszymi datkami pragnie przyczynić się do odbudowy poznańskiej Fary.

Powstaje nad rusztowaniem piękno. Jest jego w Polsce dużo. Niechaj więc powstaje i niechaj zabliźniają się rany.

Obyśmy już nigdy ich nie odnosili.

Tad. H. Nowak

Sylwetki wybitnych obywateli m. Poznania (II)

Nauczyciele, astrolodzy, lekarze

Jednym z najbardziej znanych w XV wieku i wyróżniających się wśród innych wykształceniem, pracą społeczną i wybitnymi zdolnościami pedagogicznymi jest **Jan Wels.**

Urodził się w pierwszej połowie XV wieku. Pochodził z ubogiej rodziny mieszczańskiej. Już jako student Uniwersytetu Krakowskiego zwracał na siebie uwagę i wyróżniał się trafnością sądów i postępami w nauce. Kiedy został profesorem Akademii Krakowskiej słynie jako wielkiej miary pedagog, tak, że król Kazimierz Jagiellończyk powierzył mu po Długoszu wychowanie swoich synów. Jak spełniał swoje odpowiedzialne zadanie świadczą najlepiej jego wychowankowie, między innymi Zygmunt I, późniejszy król Polski. Wels był nauczycielem, który o trzy wieki wyprzedził ówczesne poglądy wychowawcze.

Jan Wels był także lekarzem i pracował nad podniesieniem warunków higienicznych miasta Krakowa. Zakupił mianowicie na przedmieściu zw. Piasek kilka znacznych placów w oddaleniu od miasta, złączył je w jeden obszar i przeznaczył na cmentarz powszechny. Na tym miejscu wystawił także kaplicę p. w. św. Piotra i Pawła i osadził przy niej penitencjariusza. Chciał on w ten sposób odzwyczaić lud od chowania na niezdrowych cmentarzach przykościelnych.

Po ukończeniu edukacji królewiczów wrócił do Uniwersytetu Krakowskiego i tu dalej rozwija swoją działalność pedagogiczną. W roku 1488 został zwolniony z obowiązku pracy przy uniwersytecie z powodu późnego wieku i słabego zdrowia.

Gaspar Goski był lekarzem i astrologiem. Zdobył on wielkie zaufanie swoich współobywateli, czego dowodem siedmiokrotny jego wybór na burmistrza miasta Poznania.

Urodził się w Poznaniu w pierwszej połowie XVI wieku. Wykształcenie zdobył w Akademii Lubrańskiego, następnie w Akademii Krakowskiej studiował matematykę i astronomię. Na dalsze studia wyjechał do Włoch i tu w Uniwersytecie Padewskim otrzymał stopień doktora medycyny. Po powrocie z zagranicy osiadł w Poznaniu i pracował jako lekarz. Chwile wolne od zajęć zawodowych poświęcał Goski twórczej pracy, a przede wszystkim ulubionej przez niego dziedzinie astrologii, książki, które pisał były też przeważnie treści astrologicznej.

Pod koniec życia przeniósł się do Wenecji. Uwiecznił się tu jako astrolog przepowiednią zwycięstwa nad Turkami. Senat wenecki z wdzięczności za tę przepowiednię wystawił mu posąg brązowy w akademii, zaliczył go w poczet patrycjuszów weneckich, nadto ze skarbu publicznego wypłacał mu rocznie po 300 czerwonych złotych.

Jakub Wójcik urodzony w Poznaniu w drugiej połowie XV wieku. Kształcił się początkowo w szkołach poznańskich, tu wstąpił też do Seminarium Duchownego, a kapituła poznańska widząc jego zdolności wysłała go na swój koszt na studia do Uniwersytetu Krakowskiego. Wójcik oddaje się tu z całym zapałem studiom teologicznym i medycznym. Nie zadowoliły go jednak studia w Uniwersytecie Krakowskim, wyjeżdża do Padwy na dalsze pogłębienie studiów teologicznych i medycznych. Po powrocie do Poznania otrzymał zaszczytne stanowisko kanonika katedralnego i lekarza kapitulnego.

Innym wybitnym poznańczykiem to doktor Albert, profesor medycyny filozofii i geografii w Uniwersytecie Krakowskim, oraz nadworny lekarz królewski. Dr Albert cieszył się dużym zaufaniem mieszkańców Krakowa, gdyż często delegowano go w poselstwach do króla, na zjazdy i sejmiki.

Z pośród wyróżniających się lekarzy poznańskich trzeba wymienić profesora Uniwersytetu Krakowskiego **dr Wojciecha Bazę.** Studiował on w Uniwersytecie Krakowskim, a następnie w Padwie, gdzie słuchał wykładów sławnego na całą Europę lekarza Jana Babtysty Montanusa. Tu też otrzymał stopień doktora medycyny. Po powrocie do kraju został lekarzem nadwornym Zygmunta Augusta. W roku 1552 opuścił dwór królewski i został profesorem Uniwersytetu Krakowskiego na wydziale medycznym. Ważne i odpowiedzialne obowiązki nałożył uniwersytet na Bazę powierzając mu wspomnianą katedrę. Baza miał bowiem podnieść chylący się ku upadkowi wydział medycyny. Baza z całym zapałem oddał się umiłowanej pracy. Mimo wysiłków w części tylko podniósł wydział medyczny. O jego przywiązaniu do uinwersytetu świadczy to, że umierając przeznacza dużą ilość książek treści medycznej uniwersytetowi. Mieszczanie krakowscy otaczali Bazę dużym zaufaniem czego dowodem to, że Baza został wybrany dwukrotnie burmistrzem miasta.

Równocześnie z Wojciechem Bazą żył inny lekarz także Wojciech poznańczyk zw. **Omanem**, był on tak samo jak Baza nadwornym lekarzem królów Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Tytuł doktora ma już w r. 1540. On to też prawdopodobnie był tym Wojciechem poznańczykiem, który posłował z ramienia gminy krakowskiej na sejm lubelski w r. 1569 i 1. 7. t. r. podpisał akt unii Litwy z Koroną. Dr Oman podobnie jak Baza przeznaczył testamentem książki większej wartości bibliotece uniwersyteckiej, oraz poczynił różne zapisy na rzecz profesorów.

Kazimiera Iłłakowiczówna

Łagodny prosty człowiek

Poświęcone śpiewakowi na rynku w Wałbrzychu, który tak pięknie deklamował „Tulipany" 10 lipca 1948.

Ma plecak, ciupagę, walizkę,
i zdawałoby się, że to wszystko!
Ma „Przekrój" i bułki i bilet...
A jednak w ostatniej chwili
coś mu się kręci w pamięci,
coś się kołtuje po głowie
— i wie, że czegoś zapomniał
i frasuje się ogromnie
łagodny prosty człowiek.

Ogląda portfelu pustkę,
liczy koszulę, dwie chustki...
Pociąg sapnął, splunął i jedzie,
a on zasmucony się biedzi...
zagląda jak struty w rękawy i buty
i drapie się po głowie,
bo jest coraz bardziej pewien
że zapomniał... A czego? Nie wie
łagodny prosty człowiek!

Więc teraz szuka w kłopocie...
A dziewanna wzdłuż pociągu się złoci,
leżą kładki przez miejsca grząskie
po całym Dolnym Śląsku;
wiodą leśne dróżki jak dobre służki
od Wambierzyc do Kłodzka i po Kudowie,
wszędzie, gdzie — przez Księżno, Chojno
i Wałbrzych —
serce zostawił po kawałku
łagodny prosty człowiek.

Za szybami, zielone od deszczu
coraz dalej się góry niebieszczą;
potok spada i pianą parska...
Coraz dalej Cieplice i Szklarska;
Wang malwą obrasta i sterczą Chojnasty;
Tam gdzie na urwiskach i łąkach pawich,
dym ściele się od Bierutowic
wszędzie po kawałku serce zostawił
łagodny prosty człowiek.

Lipiec, 1948.

---

ością na katedrę, usadowił się na rozklekotanym krześle i rozpoczął sprawdzanie obecności. Aby dosięgnąć krótkim wzrokiem początku listy, wychylił się mocno do przodu, przeważył sprzęt i rozpoczęła się dziwna jazda. Katedra z podstawą i tylnym oparciem, ustawiona poprzednio na czterech ołówkach, sunęła teraz wolno lecz nieubłagania do przodu. Profesor powstał szybko z krzesła, co miało tylko ten skutek, że ruch przekształcił się z jednostajnego w jednostajnie przyspieszony.

W klasie wybuchły histeryczne okrzyki:

— Katedra! Runie! Trzymać ją. Zabije tych z pierwszych ławek! Uciekajcie!

Ostatnie ławki zerwały się by biec na pomoc pierwszym. Oczywiście nie zdążono. Katedra już w połowie wisiała nał „przepaścią". Profesor Tender zrozumiał wreszcie, iż nadszedł moment, w którym przede wszystkim trzeba pomyśleć o własnym bezpieczeństwie. Wykonał wspaniały skok na podwyższenie. Ponieważ jednak zdarzyło mu się to po raz pierwszy w życiu, skoczył jak fuszer. Puścił się wreszcie w ucieczce ku tablicy, która nieruchoma kusiła jak przystań cichego odpoczynku.

Katedra spadła z trzaskiem.

Pół klasy podnosi ją, wynajdując różne trudności. Żorż pozbierał już i ukrył corpus delicti w postaci rozgniecionych ołówków Natychmiast rozpoczęły się uczone inżynierskie debaty na temat przyczyn niezwykłego ruchu tak nieruchomego dotąd sprzętu. Opinia była podzielona i długo udowadniano przeciwnikom własne racje. Niestety „fachowe" te spory nie doczekały się rozwikłania, ponieważ profesor Tender z wielką gwałtownością jął wygłaszać kazania na temat niewłaściwego zachowania się klasy. Ogłuszona potokiem jego słów klasa zapadła w ciszę i bezwład na dobre.

Popłynął wykład o dynastycznych powikłaniach rodziny Anjou. Adasiowi uczyniło się serdecznie nudno. Wolniutko pociągnął nitkę ku dołowi i zerknął w bok. Lampa zdaje się urągać najsłuszniejszemu prawu Newtona i wisi bez żadnej widomej przyczyny ukośnie. Nitka jest szara, biegnie wysoko, nie widać jej zupełnie. Adaś podciągnął ją jeszcze trochę, zakręcił dookoła gwoździa i beztrosko ułożył obie ręce na biacie.

W klasie już wrze, szepty, trącanie, zadzieranie głów do góry. Profesor stuka dłonią o szybę katedry i oznajmia ze złowróżbnym spokojem, że „ma być w tej chwili cicho".

Nagle Żorż, który siedział pod samą żarówką zerwał się jak oparzony.

— Lampa spadnie mi na łeb! — zawołał w najwyższym przerażeniu. — Co jej się stało?

Teraz już wszyscy patrzą otwarcie na lampę, której pozycja robi niesamowite wrażenie. Profesor Tender śledzi przez chwilę sufit ponad szkłami. Lampa wisi dziwnie krzywo, to prawda, ale poza tym nic podejrzanego.

— Jeszcze raz uprzedzam — pada złowieszczo — że jak klasa się nie uspokoi postawię sprawę „na ostrzu noża" — rzekł zagadkowo. — Żewulski nie kręcić się! Co to jest takiego?!

Czy to złudzenie? Wszystkim wydaje się, iż głos profesora stał się jakby wesoły? Żorż siada niechętnie i co chwilę spogląda z widocznym strachem ku górze. Adaś odkręca nitkę z gwoździa i szybko puszcza. Żarówka kiwa się gwałtownie.

— Uważaj Żorż! — wrzeszczy Helmich z ostatniej ławki. — Leci! Spadnie ci na głowę!

Żewulski zrywa się po raz wtóry, jakby go kto polał ukropem. Adaś ciągnie nić i puszcza. Lampa wykonuje czysty ruch wahadłowy z zegarową dokładnością. Profesor Tender patrzy na żarówkę z naukową dociekliwością, wszyscy uczniowie patrzą to na lampę, to na profesora. Adaś podciąga nitkę i szybko zakręca dookoła gwoździa. Lampa wisi pod kątem 45 stopni. Klasa szaleje.

Teraz profesor Tender zerwał się do ataku. Wpadł pomiędzy ławki i rozpoczął tam jakiś najdziwaczniejszy taniec.

Sukał nitki.

Adaś puścił teraz nić tak, aby lampa wróciła do normalnego położenia. Z uchwały Mitel wystąpił teraz z poglądem, czy to wszystko aby nie było przywidzeniem? Nawet trwożliwy Żorż opanował resztkę zimnej krwi i siadając na swoim miejscu mruczał w najwyższym zdumieniu:

— Wisi zupełnie normalnie! Chyba nam się zdawało!

Nie można opisać tego co nastąpiło teraz. Profesor Tender wzywał na przemian dyrektora, wszystkie świętości, wójta, sumienie i klasowego wychowawcę.

Ale do wyciągnięcia ostatecznych konsekwencyj figlów klasy jak zawsze nie doszło Najdramatyczniejszym momentem miało być masowe, rzędami zapisywanie do dziennika, Poczciwy i kochany Zyzio oczekiwał — jak zwykle — z rozpoczęciem tego momentu tak długo aż — zadzwięczał dzwonek. Korytarze zaroiły się natychmiast wrzaskliwym ludkiem, rozbrzmiały tupotem nóg, śmiechem i nawoływaniem. Przez otwarte drzwi zaczęły zaglądać ciekawe i zuchwalczo śmiałe głowy sąsiadów.

Profesor Tender nie opuszczał jeszcze klasy Stał przy katedrze i patrzył długo na uczniów. Na jego stale zastroskanej zachmurzonej twarzy pojawił się teraz uśmiech tak niezwykły, promienny, że przejęci naraz uczniowie patrzyli wszyscy jak jeden w zadziwieniu na starego profesora. Wyraz serdecznej pobłażliwości, bagatelizującej wielkodusznie psikusy chłopaków — tchnął z całej sylwetki nauczyciela.

— Ach młodość młodość! — szepnął cicho, ale słyszał go każdy. — Kochane dzieci! I ja kiedyś byłem taki! Gdzież się podziała ta naiwna beztroska!

Profesor Tender westchnął, odwrócił się od katedry i wśród ogólnej, głębokiej ciszy zwolna opuścił klasę.

I dziwne Odtąd jego lekcje należały do najspokojniejszych. A nawet wszyscy odkryli iż wykłady z historii profesora Tendera są szczególnie zajmujące, ciekawe.

K. RYMWID

Bursztynowe wybrzeże

— Czy widział pan perły Bałtyku?
— Perły??
— Tak, perły, zaraz panu pokażę.

I mój rozmówca zaczął grzebać w pokaźnej kupce zielska i wodorostów, które niedawno fale wyrzuciły na brzeg. Po chwili otrząsając piasek podaje na dłoni kilka ziarn bursztynu.

Patrzę z niedowierzaniem. Widząc moje sceptyczne i podejrzliwe spojrzenie, przedsiębiorczy poławiacz bałtyckich pereł dodaje:

— To nie lipa, o zaraz panu udowodnię, że to nastojaszczy bursztyn.

Wyciąga kawałek gazety, urywa mały skrawek, poczem bierze bursztyn i pociera energicznie o rękaw swej sukiennej, niegdyś wojskowej, bluzy. Za chwilę skrawek papieru dotknięty przez bursztyn mocno się doń przylepia.

A co, widzi pan, że nastojaszczy — konkluduje na zakończenie próby.

— Dużo zbiera pan tych pereł?

— Jak czasem się uda — odpowiada, zgarniając jednocześnie do worka wyrzucone przez morze, brązowe wodorosty. Pracuję tu w pobliżu i jak mam wolną chwilę, idę na plażę i zbieram wodorosty. To lepiej niż bursztyn. Bursztyn to dodatek. Wodorosty płuczę w słodkiej wodzie i wówczas często znajduję rozmaitej wielkości ziarna bursztynu. Po wypłukaniu suszę zielsko i sprzedaję jesienią przedsiębiorstwom farmaceutycznym, które wykorzystują je jako swego rodzaju surowiec ze względu na dużą zawartość jodu dla preparowania leków. Ziarna bursztynu również sprzedaję firmom, produkującym rozmaite upominki z nad morza. Ot tak jedno przy drugim — kończy swój wywód — zarobi się kilkanaście, a czasem i więcej tysięcy.

Śpiewny akcent wymowy zdradza pochodzenie mego rozmówcy. Pan jest repatriantem? — zapytuję — czy dawno tu pan mieszka?

— O już będzie dwa lata z małym hakiem — odpowiada. — Przed tym żyłem za Bugiem. Jezioro Świteź, wiesz pan?

— Wiem, wiem, no i jak się tu powodzi?

— Nie mogę narzekać, jak pan widzi. Tu pieniądze leżą na plaży, trzeba tylko chcieć je znaleźć. Jak poszczęści się, to i bardzo dobrze można zarobić. Ot jeden z robotników w Ustce przy pogłębiarce, która pracowała w kanale portowym, znalazł kawałek bursztynu więcej niż funt wagi.

— Mój sezon — ciągnie dalej — właściwie zaczyna się w końcu sierpnia i we wrześniu. Teraz chodzę na plażę, bo lubię morze, tu zawsze wesoło. O, patrz pan — tu wskazał na wyłaniające się zza horyzontu maszty dwóch statków płynących do Ustki — jak sznurkiem ciągną po nasz węgiel. Jak zaczną się jesienne sztormy, to tego zielska leży tu masa, tylko zbierać i suszyć. Ale morze wówczas nie takie łagodne jak teraz, góry wodne walą jedna za drugą na brzeg, że aż strach patrzeć...

Elektridy

Przypadkowa rozmowa z przygodnym poławiaczem bałtyckich frutti di mare dała asumpt do zainteresowania się sprawami bursztynu. Rosjanie i Niemcy mają dość obszerną literatuę w tym zakresie, aczkolwiek sprawy bursztynowe dalekie są od całkowitego wyjaśnienia, a zwłaszcza badania naukowe mające na celu ustalenie miejsc, w których znajdują się większe złoża bursztynu były przypadkowe i niesystematyczne.

Dotychczas za najbardziej bogate w złoża bursztynowe tereny uważano okolice półwyspu Sambijskiego, mierzeji Kurońskiej i Kłajpedy, nie brak jednak było dowodów, że formacje bursztynowe znajdują się również na wschód i zachód od tego rejonu. Znaczne iloście bursztynu znajdowane w pobliżu Połągi, Libawy, a nawet Rygi oraz liczne ślady bursztynu na Pomorzu Zachodnim potwierdzają istnienie na Bałtyku legendarnych wysp bursztynowych, o których wiele mówiono w starożytności. Grecy i Rzymianie, którzy sprowadzali bursztyn z dalekiej północy (szlak bursztynowy) nazywali wyspy te elektridami.

Zwrot o bursztynowych wyspach w pieśniach i podaniach nie był poetycką jedynie fantazją. Dane geologiczne potwierdzają, że w czasach, oczywiście, znacznie bardziej odległych niż Grecja i Rzym w jednym z późniejszych okresów wyspy takie były rozsiane w południowo-wschodniej części Bałtyku mniej więcej pod 55 stopniem szer. półn. Nie jest rzeczą zbadaną, czy tworzyły one archipelag czy też były to wyspy pojedyńcze, ale wiadomo, że były one porośnięte lasem iglastym, głównie przez **Pinus succinifera.** Wyspy te wskutek nieznanych przyczyn czy jakiegoś kataklizmu pochłonięte zostały przez morze i stopniowo zamieniły się w torf i węgiel brunatny. W dalszym procesie zatopione obszary rozmywane były przez fale, które wyrzucały i wyrzucają skamieniałą żywicę — bursztyn. Warto zaznaczyć, iż lasy zatopionych wysp były niezwykle bogate w żywicę. Wskazują na to dane statystyczne z okresu 1761 do 1811 roku, w którym to czasie rocznie w jednym tylko rejonie Królewca wydobywano ponad 150 ton bursztynu.

Przemysłowe znaczenie bursztynu

Myliłby się kto by sądził, że ustalenie miejsc gdzie się znajdują większe formacje bursztynowe ma wyłącznie teoretyczne, naukowe znaczenie. Poza tym, że bursztyn, jak wiemy, służy do wyrobu rozmaitych drobiazgów jak kolie, bransolety, cygarniczki itp., jest on niezwykle cennym surowcem dla przemysłu lakierniczego i elektrotechnicznego. Odkrycie zatem większych formacyj bursztynowych mogło by się przyczynić, że nasz przemysł skazany obecnie na zakup podobnego surowca za granicą, mógłby osięgnąć samowystarczalność, co z kolei wpłynęło by na zaoszczędzenie dewiz.

Dni bez żółci

Są dni bezmięsne
Dni bezciastkowe
(Po cóż to pisać
Wszak każdy to wie!)

Lecz mnie uderza
Dziś nowy problem:
Zróbmy bez żółci
Dwa dni w tygodniu.

Żona niech powie:
„Kochany Antku,
Pójdź na jednego,
Albo na randkę!"

Antek odpowie:
„Zosiu, kochanie
Idź wybrać suknie,
Zapłacę za nie".

By jednak pomysł
zlegalizować,
Trzeba petycję
Pisać zbiorową.

Wszyscy panowie
I wszystkie panie
W tej sprawie takie
Wnoszą podanie:

Niechaj sejm do dni
Mięsnych dorzuci
W tygodniu każdym
Dwa dni bez żółci!

KPI

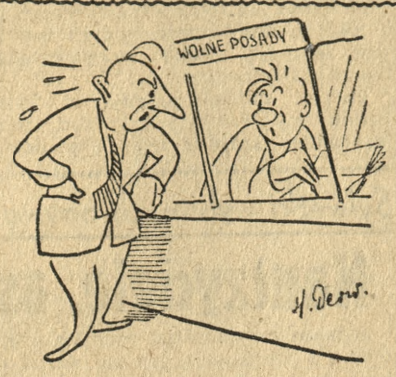

— Czy to pan polecił mi kucharkę?!!
— Tak... To ja...
— W takim razie proszę ze mną na obiad!

Pomyłka

— Biedny człowieku, zagrajcie mi teraz jakiegoś walczyka...
— Pani wybaczy, ale to nie jest katarynka, ja sprzedaję lody...

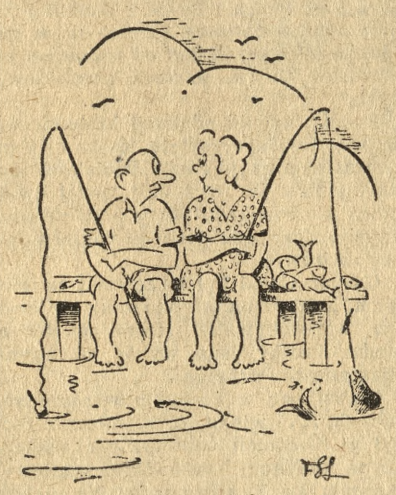

— Musisz mi zwrócić uwagę Tadziku o ile coś zrobię inaczej niż mnie nauczyłeś!

— Kto cię tak urządził?
— E, nikt! Spałem w hamaku...

Okoliczność łagodząca

Pewnego razu generał przechodząc przed frontem kompanii, zauważył sierżanta niezwykłego wrostu. Zatrzymał się i zapytał:

— Żonaty?
— Tak jest, p. generale.
— Dzieci?
— Jedno, p. generale.
— Co? Taki silny chłop i tylko jedno dziecko? Jak długo jesteście po ślubie?
— Pół roku, p. generale.

Pacjent

Do doktora przychodzi Walenty Pająk.

— Źle się czuję, panie eskulapie — mówi — w dołku mnie gniecie, niesmak, szum w uszach i drżenie nóg.

Lekarz skrupulatnie bada pacjenta. W końcu zapytuje:

— Czy pan pije?

Walenty Pająk rumieni się.

— Jeżeli pan doktór tak łaskaw, to poproszę o cytrynówkę.

Akcja o mocnych podstawach

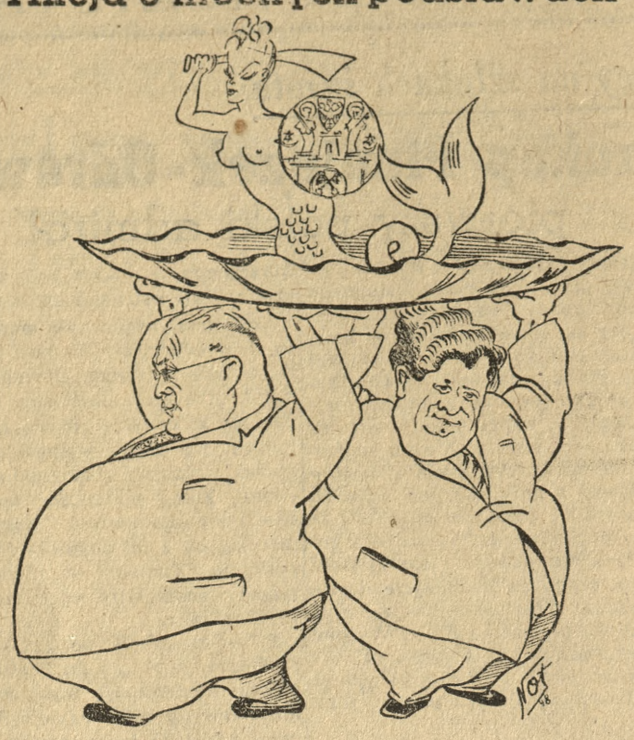

Przewodniczący i wiceprezes Woj. Komitetu Odbudowy Warszawy i Poznania dyr. Zakrzewski i woj. Brzeziński

Zrozumiały żal

— Muszę na wstępie panu doktorowi powiedzieć, że wydałam już dziesiątki tysięcy złotych na leczenie tej choroby.

— No tak, szkoda, że pani od razu nie przyszła do mnie.

MUZYK

Kto by nie kochał muzyki? Piękne tony łaskoczą naszą duszę, unosząc ją hen, hen ku niebiosom. Gdzie tylko usłyszę muzykę, tam biegnę byle nic nie uronić z jej melodii i dźwięku. Nie pomijam żadnej okazji: opera czy komedia muzyczna, wieczory symfoniczne i jazzowe są moim żywiołem. To też mogę śmiało twierdzić, że się na muzyce dobrze znam. Odróżniam Fugę Bacha od „Czarnoksiężnika" lub „Szkice kaukaskie" Rimskij - Korsakowa od „Wróć do Sorento". To już jest rutyna, prawda? Znam masę cennych utworów na pamięć. Nie gram co prawda na żadnym instrumencie (poza okarynką) ale za to pięknie gwiżdżę. Przy rannym goleniu odbywa się w moim pokoju coś w rodzaju uczty. Kataszek i Mendelson, Liszt i Harris unoszą się trelami po całym mieszkaniu i części klatki schodowej. Tak się składa, że w tym czasie bywam zawsze osamotniony. Żona, kiedy zaczynam mydlić twarz, szybko biegnie po zakupy a teściowa raźno jak na jej 80-tkę wali do kościoła.

W skrycie ducha marzę o graniu na pianinie. Gdzie tylko dopadnę tego instrumentu to gram i ćwiczę się. Pierwszą oponę już pokonałem. Z myślą o Bożym Narodzeniu gram już nieźle kolędę.: „Przybieżeli do Betleem". Ale naturalnie wskazującym palcem prawej ręki. To będzie radość, jak na tradycyjnym przyjęciu w pierwsze święto u cioci Balbiny zagram zdumionym słuchaczom.

A propos cioci Balbiny. Przed niedawnym czasem odwiedziłem ją. Kochane ciotczysko. Obwarzanki, kawa z kożuszkiem i konfitury. Siedzieliśmy sobie w przytulnym pokoiku. Naraz doszły nas tony ulatujące ze skrzypiec. Coś mnie poderwało. Muzyka, ach muzyka. Lecz po chwili zdrętwiałem. Ten ktoś grający ohydnie fałszował. Zrozumiałem. To wędrowny grajek podwórzowy muzyką prosił o poparcie. Wyjąłem z portfelu 50 złotych, podniosłem się z fotelu, żeby poratować biednego. Ciocia wybałuszyła na mnie oczy: „co ty chcesz zrobić" — zapytała?

— „No, chcę mu dać parę groszy; poratuję go i poza tym pójdzie sobie dalej".

Narobiłem ja sobie, bo narobiłem. Ciotka momentalnie okrzepła w sobie, stała się zimna a przez zęby wycedziła:

— „To ty nie wiesz, że to Karol, twój kuzyn gra tu obok w pokoju. Przygotowuje się do koncertu na zakończenie studiów w konserwatorium? Zrobiło mi się bylejak. Z piwonii stałem się białym opłatkiem i po chwili na odwrót. Tyle tylko, że zgrabnie mi się udało wysunąć z pokoju na korytarz, z korytarza na schody.

Ale przecież ja się na muzyce znam. Co ten głupi Karol tam wygrywał? Chyba że tego utworu nie znam. Ale ja miałbym nie znać?

Tyle wiem, że u cioci Balbiny moja noga już nie postanie.

t. h. n.

STANISŁAW JERZY LEC

(Ze zbioru „Spacer cynika")

FRASZKI

Admonicja

To jest przeciwne naturze!
Ona przeznacza gdzie, z kim, kto.
A waćpan pcha się ku górze
Dzięki najniższym instynktom.

Do przyjaciela

Na rękach cię obnosimy —
Nie żeśmy tobą przejęci.
Tylko z tej prostej przyczyny,
Żeś wiecznie niemowlęciem.

Do zegarka

Co tak się śpieszysz, czasomierzu,
Czas mijaj wolno, wzgardą.
Wszak wiesz, że w swoim czasie zmierzysz
Niechybnie do lombardu.

Inst. Meteorologicznemu

Do bani są te wasze wymyślne aparaty
Przydałby wam się jeden uczciwy reumatyk

Anegdoty

Krasicki, ozdoba poetów Stanisława Augusta, nie był przyjacielem oszczędności. Gdy raz bawił w Berlinie, zrobił 30 tysięcy długu. Na odjezdnym był na pożegnaniu u króla Lecz gospodarz nie chciał Krasickiego puścić, bo mu nie miał czym zapłacić.

Zasmucony udaje się na przechadzkę Krasicki i na nieszczęście, a raczej na szczęście, spotyka króla. — „Jesteście tutaj?" rzecze król. „Poddani W. K. Mości tak mię kochają, że mię puścić nie chcą". Król odgadł od razu znaczenie tych słów i długi Krasickiego zapłacił.

*

Znay w swoim czasie prawodawca wymowy, uczony ks. Grzegorz Piramowicz, pisywał w młodości ładne wierszyki i to z wielką łatwością, a ponieważ był dobry i uczynny, naprzykrzano mu się często o poezję na imieniny, urodziny, lub inną jaką uroczystość.

Raz przyszedł do niego młodzieniec i prosił o wiersz. „A na kiedy?" spytał Piramowicz. „Na jutro" — „O mój paniczu, tak nagłego obstalunku podjąć się nie mogę — „Dlaczego" — „Pierwszy czeladnik mi zachorował" — „Któż taki?" — „Koncept". —

I od tego dnia przestał wiersze pisywać.

U łoża chorej Francji

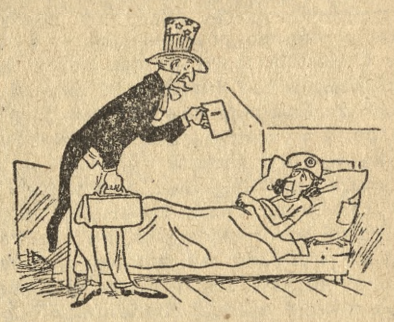

Wuj Sam: — Proszę ściśle przestrzegać diety! Trzy gramy cukru, pół grama tłuszczu, dwieście gramów chleba, a wody — ile pani zechce... („Krokodil")

Urywki z nienapisanego

(według M. Jakowlewa)

Opera narobiła w mieście dużo szumu. Pewnie też dlatego słuchacze w czasie premiery zatykali sobie uszy.

Talentu nie można było mu ująć. Przychodziło to tym łatwiej, że żadnego nie posiadał.

Obraz — to tak jak obiad biednych ludzi. Złym olejem można go łatwo popsuć.

Najbardziej ubliżającym ze wszystkiego było to, iż wiersz, za który go skarcił krytyk, był od niego oderżnięty.

Na obrazie przedstawione były groźne tygrysy, a w jego ramach gnieździły się zwykłe pluskwy.

Przechodził grypę z komplikacjami. Komplikacje miał w biurze personalnym, ponieważ nie dostarczył na czas świadectwa lekarskiego.

MIK

Płać mój aniele, gdy szczytne cele!

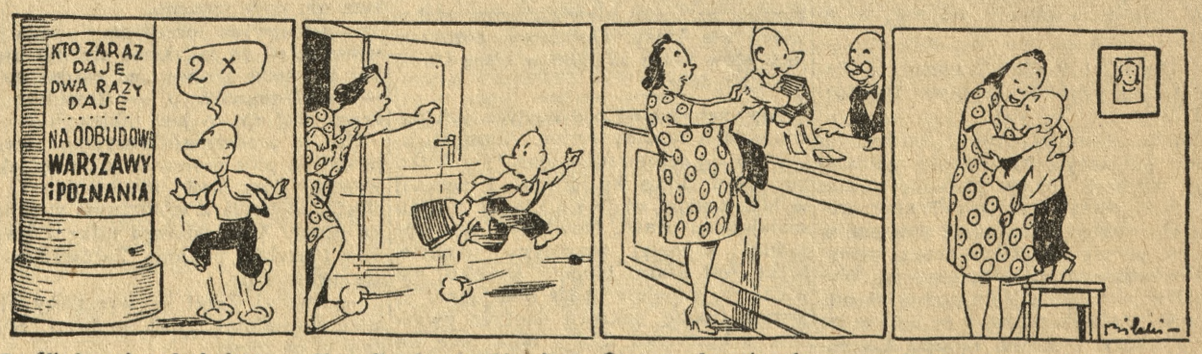

Do Śliwkowej mądrej głowy
Wpada koncept wnet gotowy.

Chwycił więc torebkę żony
I już pędzi jak szalony.

Żona go dogania, ale
Nie wymawia straty wcale.

Dobrej się przysłużył sprawie:
Poznaniowi i Warszawie!